

Pustynia libijska, dnia szóstego września roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Dzień ten rozpocząłem o pierwszym świtaniu, do podróży gotowując swój podręczny kufer. Poranną senność nieprzespaniem nocy wywołaną, kubkiem kawy etiopskiej skutecznie rozproszyłem. Śniadania obfitego wszelkie pozostałości do kufra spakowałem, w piekarni pobliskiej zakupiłem prowiantu suchego ilość niezbędną i z przewodnikiem o umówionej spotkałem się porze. Szpadel obłamany, w stajni się poniewierający do jednej z pustych olstrów włożyłem. Z pomocą przewodnika klacz czystej krwi okiełznałem, furaz niezbędny do juków przytroczyłem, dociągnąłem popręg, a po kilku minut upływie, gotów do drogi, siedziałem już w siodle. Siwa klacz nad wyraz okazała się łagodną i spokojliwą, do narowów nijakich nie nawykła. Na pustynny trakt wjechawszy, po kilkudniowej przerwie na powrót uczulem na twarzy ogorzałej samumu powiew. Po raz wtóry doznałem uczucia, niezwykłości którego zapomnieć nie sposób. Pośród obszarów niezmiernych się znajdując, możliwościami ludzkiego wzroku jedynie ograniczonych, wrażenie można osiąść, jakoby było się ziemi tej odkrywcą, jakoby pomiędzy nikogo nie była jeszcze podzielona. Gdy na domiar twarz wędrowcy takiemu, samum rozpędzony smaga, u brzegów jednego oceanu początek swój biorący, a kresu dobiegając u brzegów drugiego, poczucia znalezienia się sam na sam z kontynentem całym, w połowie pustynią wypełnionym, doznać jeszcze łatwiej.

Tuż za przewodnikiem jadąc, w plecy jego i zad koński wpatrzony, oddałem się rozważaniom za ostatnimi zdarzeniami, podążającymi. Wspomniałem słowa Amona Re na ścianie pamiętnej spisane, jakież jemu musiały towarzyszyć myśli, gdy po raz pierwszy ku nieznannej sobie zbliżał się planecie, gdy bezkres pustyni tej ujrzał z przestworzy? Czy równie wzrokiem nie objętą stamtąd się wydała, czy też wyglądać mogła jak kopiec piasku przez dzieci na plaży nadmorskiej wzniesiony. Z jakąż niepewnością musiał pierwsze stawiać kroki, z obawami jakimiż wdech pierwszy ziemskiego powietrza zaczerpnąć. Jakież myśli musiały jego umysł targać, uświadomiwszy sobie konieczność po wsze czasy pozostaniu tutaj? Musiało być to doznanie po stokroć potężniejsze niż doznanie moje, znalezienia się pośród nieznanych przestrzeni.

Chwile od rozważań wolne spędzałem na konwersacjach z przewodnikiem swoim, języka arabskiego znajomość zgłębiając. Nigdy też wcześniej ani później w języku tym, zdań tylu wypowiedzieć nie było mi dane. Podczas owych dni czterech w towarzystwie Selima spędzonych, język ten przestał przede mną ostatnie skrywać tajemnice. Rozważania o niewdzięcznym byciu ludu arabskiego pod panowaniem sułtanów, przerwał nam wieczór z nagłą zapadający. Ognisko naprędce rozpalone nim zgasło nad ranem, jedyne po horyzont rozniecało światło.

Pustynia libijska, dnia siódmego września roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Zaranny blask zbudził nas, nim jeszcze słońce zdążyło zza pagórków w kolorze miedzi, wyłonić swą tarczę. W żarze ogniska Selim zdążył jeszcze w imbryku mosiężnym zaparzyć kawę, czarną jak ziemia u nabrzeży Nilu. Niezbędnej nam ona przydała energii. Ochoczo dosiedliśmy parszających koni. Przyплыw sił wzmożony obfitym śniadaniem, sprawił że zrazu jałem popędzać wierzchowce ospałe. Przewodnik uznał pośpiech mój za nader bezzasadny, wyjaśniając że rumak tak wytrzymały jak czystej krwi arabskiej, do galopu popędzony na piaskach pustyni, ubiec może z górą trzy wiorsty, po czym kłusem idąc kolejnych kilka, a w sposób ten umęczony długo stępa iść musi, żadną miarą dziennej normy, sto sześćdziesiąt wiorst wynoszącej, znacząco nie przekraczając. Tym bardziej klaczy poganiać nie należy, że do ruin oazy na nocleg przewidzianej, bez pośpiechu przed zmrokiem zdążymy. Jadąc kłusem do źródła wydrążonego w górskiej skale przybyliśmy, które to w drodze poprzedniej naukowców wielu od niechybnej śmierci

uchroniło. Napoiliśmy konie nad wyraz spragnione, a zapasy wody uzupełniwszy, sami na końcu ugasiłiśmy pragnienie. Ilości nieprzebrane krynicznej wody, jakie wspólnie z wierzchowcami wypiliśmy, w żarze południowego słońca zrazu w potu nadmiar się przeistoczyły, wkrótce też na postój dłuższy musieliśmy się zatrzymać, by pragnienie powracające ugasić. Widząc białe kości wokół porozrzucane, zabrzmiało w uszach echo słów „memento mori”, zadumałem się nad ziemską kondycją człowieka, jak i nad uludą pośmiertnego bytu. Jakkolwiek dojmujące w swojej tragiczności było to przeżycie, już w minucie następną przypląw sił nagły odczułem. Postanowienie nagłe też powziąłem, by pozostające mi życie jak najpełniej wykorzystać, a nade wszystko dopełnić powinność najbliższą i na trud odczytania papirusów w wielkiej piramidzie ukrytych, się zdobyć. Selim widząc moje zamyślenie nad ludzkimi kośćmi, z pogodnym wyrazem twarzy, radośnie oznajmił iż wszyscy ci szczęśliwcy od dawna przemierzają rajski ogród strzeżony przez anioła Ridwaena. Cudowne miejsce gdzie panuje istny przepych, bogactwo i szczęście, rosną złote drzewa, a pośród nich wznoszą się pałace z pereł i fontanny z imbiru. Wszyscy są tam równi sobie, każdy ma po 33 lata i wiek ten już nigdy nie ulega zmianie. Na wiernych islamistów oczekują 72 dziewice, ich przyszłe żony.

Sceptycyzm mój wrodzony jak i przyzwyczajenie do tradycji chrześcijańskiej w jakiej wzrastać mi przyszło, z niedowierzaniem mi kazały do słów tych podchodzić. Podobnym też spojrzeniem Selima obrzuciłem. Wkrótce jednak pomiarkowałem, pomny słów ściennego eposu, prawdziwość którego, gdybym był nie doświadczył, także bym negował. Potwierdził się mój wniosek z dawna wysnuwany, iż nie ma rzeczy niemożliwych, a najbardziej z nich niewiarygodne, by uczynić niemożliwymi, obrzuca się epitetem spiskowych teorii. Czas jakiś jeszcze Selim do uniwersalności religii swojej usiłował mnie przekonać. Nie wspominałem mu ni słowem, że na problem ten od dnia pamiętnego spędzonego w krypcie, potrafię z szerszej spojrzeć perspektywy, sens i wiarygodność każdej z nich podważyć, niemniej w każdym względzie postanowiłem rację mu przyznawać. Monologu jego cierpliwie słuchałem, jakoby Islam miał być spośród innych religii najbardziej pokojową i na rozwój intelektualny zorientowaną, jakoby wszyscy neofici dobrowolnie na niego przechodzić mieli, nie zaś pod groźbą rujnującego podatku jizya. Ażeby naci przyjaźni zadzierzgniętej nie zrywać o podbojach religijnych od VIII wieku przez Arabów czynionych wspominać nie chciałem, o ich dobijaniu się do wrót Francji, o bitwie pod Poitiers, o klęsce ich z ręki Karola Młota, doznanej. Zaszuchany w jego słowa, mijania czasu nie spostrzegłem. W amarantowym blasku zachodzącego słońca, rzec by można wraz z piaskiem po całej pustyni rozsypanym, wyłonił się zza wydmy kontur oazy, a wraz z nimi ruiny cmentarza. Raz jeszcze Selim dał dowód przestrzennej orientacji, byliśmy dokładniejsi od astroluwium i od zegarka najdroższego bardziej punktualni.

Do pni palm porastających cmentarz, przytroczyliśmy konie. Stałem nad stelą nagrobną, z fragmentu pylona niegdyś wykonaną. W niezmiennym tkwiła położeniu. Pomyślałem, dopóki piach jej nie przysypie, a wiatr piachu nie zwieje, spędzi tutaj niewzruszona kolejne setki lat, a może tysiąclecia. Domyślając się trudów mnie oczekujących, po raz drugi wrażeń i emocji, wynikających z nocowania na nagrobku pamiętnym, uniknąć postanowiłem. W pobliżu odnalazłem stelę nieźle zachowaną, a wielobarwnym kilimem ją nakrywszy, z wolna począłem się do snu układać. Trudy wędrówki sprawiły, że tej nocy sen spadł na mnie ciężki i głęboki. Zmęczony umysł, świadomy obecności grobów w najbliższym otoczeniu, począł roztaczać wizje senne, z krainą zmarłych ściśle się wiążące. Wrażenia doznałem jakobym z życiem się rozstał, a jaźń moja niezbadanymi prawami umysłu, do krainy Ozyrysa została przeniesiona. Wizje senne szkicowały obrazy te z niezwykle dosadnością, przydając im cech rzeczywistych, koloru i wiarygodności niebywałej.

Wydało mi się zrazu że pośrodku podziemnej krainy się znalazłem, nikłym światłem, nie wiedzieć skąd, najpewniej z zaświatów pochodzącym, oświetlonej. Wdychałem woń mikstur przez balsamistów stosowanych. Towarzyszył im poszum wód o brzegi nieznane rozbijanych. Uzyskałem przekonanie jakoby niezliczona ilość przeszkód miała na mnie oczekiwać. Wokół obecność groźnych duchów wyczuwałem, żywych tworów natury o wyglądzie nieznanym i kształcie niewyobrażonym. Spośród nich wypełzały zie-

jące ogniem węże, wielogłowe hydry, monstra o ciałach hipopotamów i krokodyli paszczach. Nie tylko wędrówkę ku światłu zagradzały, ale gotowe były w sekundzie każdej pożreć mnie w całości. By je ujarzmić, imiona napotkanych na drodze monstrów zacząłem wymawiać, wiedząc że zgodnie z Egipcjan wierzeniami, znając imię przeciwnika, przewagę nad nim uzyskać można. Na widok węża o odrażającym wyglądem, kojarząc go z ucieleśnieniem wroga słońca i porządku rzeczy, nicością i ciemnością, z ust ledwie rozwartych, wyszczyłem słowo Apophis, a wąż ten natychmiast z drogi się usunął. Spostrzegłszy na przeciw siebie demona w postać czarnego psa wcielonego, wygląd jego z panem zachodu słońca skojarzyłem i sędzią w Państwie Umarłych. Wypowiedziałem słowo Isdes, a postać ta natychmiast rozplynęła się w półmroku. Pewność zdobyłem o zmierzaniu w kierunku właściwym, ku sądowi Ozyrysa się zbliżając. Podążając dalej, widok postaci ludzkiej z głową sokoła, trzymającej w dłoniach dwa norze, ze zwierchnikiem świty Ozyrysa utożsamilem wnet też wypowiedziałem słowo Imachuemanach. Postać ta wówczas podejrzliwym wzrokiem mnie obrzuciwszy, skinieniem dłoni za sobą podążać nakazała. Domyśliłem się wówczas że przed oblicze Ozyrysa najkrótszą drogą pragnie mnie doprowadzić. Podążyłem więc za nią wyzbyty obaw wszelkich, nadzieją na szczęśliwy przebieg sadu przepelniony. Wiedziałem że w Królestwie Umarłych nie pobłądzą i istot nieprzyjaznych sobie więcej nie napotkam. Wizje moje senne w dalszej kolejności, idąc za postacią Imachuemanacha, przed wrota Dwóch Prawd mnie doprowadziły. U rozchylających się wrót powitała mnie krwiożercza bogini Hotephor. Stałem naówczas pokornie u wrót sali i zaglądnowszy do wnętrza pozdrowilem trybunał boskich sędziów, w rozległym półokręgu zasiadających. Pośrodku siedział władca Krainy Umarłych, niewzruszony w swych sądach Ozyrys. Naokoło zaś niego czterdziestu dwu ławników, każdy z nich, jeden z czterdziestu dwu najpoważniejszych ludzkich grzechów, władny osądzać. Wówczas zgodnie z tradycją w mitach zawartą, wygłosiłem deklarację swojej niewinności. Spowiedzi negatywnej w pokorze dokonałem, bogów przekonując o bezgrzesznym życiu. Zwyczajowo powołałem serce swoje na świadka, podałem je na wyciągniętej dłoni, w przekonaniu że zaświadczy ono o prawdomówności mojej. To miał być najtrudniejszy etap sądów nade mną, musiałem przekonać serce swoje, by przeciw mnie nie świadczyło. Anubis, bóg obsługujący wagę, serce ode mnie odebrał i na jedną z szali je rzuciwszy, przystąpił do ważenia, chcąc w ten sposób dociec prawdomówności mojej. Na drugiej zaś szali położył pióro, symbolizujące boginię Maat. Ramiona wagi, równoważąc się na poziomie jednym zawisły, co zapewnienia o niewinności otwierdziło. Wówczas na powrót z sali obrad mnie wyproszono. Za drzwiami stojąc, słyszałem słowa Anubisa, wynik sądu obwieszczającego. Thot zaś, pisarz bogów, czego widzieć nie mogłem, a pamiętałem z przekazów, głową Ibisu skinąwszy, wyposażony w rylce i tabliczkę, do spisywania wyroku przystąpił. Drzwi do wnętrza przepastnego po raz trzeci się otwały, Anubis chwycił mnie mocno za rękę i po raz wtóry do sali Dwu Prawd, wprowadził. Bóg Thot zadał mi pytań kilka, by upewnić się czy jestem tym za kogo się podaję. Pomyślnie przeszedłem i ten sprawdzian swojej uczciwości. Zaprowadzono mnie naówczas przed oblicze Ozyrysa, a ten ogłosił swój wyrok, uznając mnie za oczyszczonego z grzechów wszelkich i przyznał prawo do życia na polach wiecznej szczęśliwości. Wzniostem dłonie ku górze na znak radości, a we włosach pojawiło się pióro Maat, bramy rajy natenczas stanęły przede mną otworem. Naówczas grono ławników wraz z Ozyrysem rozplynęło się w pomroce, sąd nad mą duszą dobiegł końca, wygłodniała Ammut - demon o pysku krokodyla, korpucie lwa i zadzie hipopotama, pożerający grzeszników, obejść się smakiem została zmuszona.

W chwili tej przebudziłem się nagle, wykrzykując imiona bogów, sąd nade mną odprawiających. Gęsty mrok nocy wsiąkał w gładką powierzchnię nagrobka, a ja przez długie minuty nie mogłem odróżnić go od mroków Krainy Umarłych, jak gdybym wciąż jeszcze przebywał na jej obrzeżach. W sen ciężki na powrót zapadłem, a uśpiona wyobraźnia jaśniejsze wizje staroegipskiego rajy roztaczać zaczęła. Zobaczyłem pola uprawne po horyzont się ciągnące, własność Ozyrysa. Dusza moja z grzechów oczyszczona, zobowiązana była pola te uprawiać, siać, orać i zboża wszelkie kosić. Czynności tych ochoczo się podjąłem. Obserwowałem uwijające się wokół małe postacie uszebti, ożywione przesądem, jakoby do grobów boga-

tych i wysoko urodzonych włożone, za nich, do pracy nie przywykłych, miały prace polne wykonywać. Obserwowałem pośmiertne wcielenia bogaczy i kapłanów, pracą uszeblich wyręczonych, jak odpoczywali w cieniu drzew leżąc, jak chleb jasny zajadali i ciemnym a chłodnym piwem się raczyli.

Pustynia libijska, dnia ósmego września roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Zbudziłem się o pierwszym świtaniu rześki i pogodny. Tym razem z uśmiechem na twarzy, wspominając ostatni senny obraz, jak gdyby ze współczesności zaczerpnięty. Bliki porannego słońca wędrowały po cmentarnych stelach, ja natomiast sen o sędzie ostatecznym staroegipcjan wspominałem i w czas długi jeszcze, nie mogłem odróżnić jawy od snu. Rozmyślałem atoli nad drogami jakimi podąży umysł ludzki podczas marzeń sennych, sam na sam z sobą pozostawiony. Obie klacze, które wyświadczyły nam niewysłowione przysługi, wszelkie trudności znosząc, stały obok siebie, kiście niedojrzałych daktyli ogryzając. Od czasu do czasu też okładały się nawzajem, włosiem popielatych ogonów. Selim bez pośpiechu, celebując każdy gest i ruch, przyrządzał rytualny napój. Niepowtarzalny aromat abisyńskiej kawy roztaczał się wokół, przywołując wspomnienia sprzed lat wielu, kiedy to któryś z przyjaciół z wyprawy egipskiej powracający, podarował mi kilka garści kawowych ziaren. Wówczas to po raz pierwszy zaznałem smaku owego eliksiru, sprawiającego że zmagania moje z materią starożytnych języków, nader w obróbce trudnych, stały się mniej męczące i bardziej efektywne. We Francji na zakup ziaren kawowych, wciąż za luksusowy towar uchodzących, stać mnie nie było, toteż będąc w Egipcie do woli starałem się jej aromatem delectować, jak i należyty zapas do Francji przywieść. Kilka łyków naparu umysł mój właściwemu stanowi przywróciło i resztki snu, błakającego się w jego czeluściach, na dobre rozproszyło. Przedostatni dzień naszej podróży zdawał się zapowiadać mniej upalnie, a bardziej wietrznie, choć według zapewnień Selima wrażenia takie, niczym innym są, jak tylko złudzeniem niechybnym. Podług twierdzeń jego, każdy dzień na wielkiej pustyni jednakowo gorącym być musi. Patrząc na dźwigający się ku górze świetlisty okrąg, pomyślałem że nie prędko od afrykańskiego słońca przyjdzie się uwolnić. Na domiar dalsza część ekspedycji, o ile wszelkie przeciwności w Memfis zdołam przezwyciężyć, w Abu Simbel czyli bliżej równika jeszcze, będzie się odbywać. Na pocieszenie myśl przywołałem, że nie mniej żarliwe słońce opalało twarze wszystkich Pharaonów, Diodora Sycylijskiego, Pliniusza, Herodota, Aleksandra Wielkiego, Juliusza Cezara i mentora mego Napoleona Bonaparte, za przyczyną którego dwa lata domowego aresztu zmuszony byłem odbyć. Wyruszając w dalszą drogę, staraliśmy się umknąć słońcu, odbywającemu codzienną wędrówkę, wydawać by się mogło tuż za naszymi plecami. Wspomnieniami snu niecodziennego z Selimem dzielić się nie zamierzałem, w obawie o niedowierzania i krotochwilę posądzenia, w sytuacjach takich nieodzowne. Uniknąć chciałem pomówień, jakoby bukłaki moje winem mocnym wypełnione być miały, a ja sam ponosić miał opróżniania ich skutki. Dręczące nas zmęczenie z każdą godziną dawało znać bardziej o sobie. Wrażenie odnosiłem jakoby nieustannie tocząca się kula słońca na przód nas popychała, a gdyby z jakiś przyczyn miała się zatrzymać, my również wraz ze zdronionymi klaczami zatrzymalibyśmy się w bezruchu, na długie leże i popas pozostając. Przed zamiarem takim uchraniała nas jeno terenu niegościnnność i przekonanie, że postój dłuższy mógłby się równać co najwyżej, odpoczynkowi po wsze czasy.

Szczęśliwie zapadający zmierzch nadciągnął, jakby szybciej i mniej wyczekiwanie, przybliżając moment ułożenia się do nocnego spoczynku.

Pustynia libijska, dnia dziewiątego września roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Ostatni dzień podróży, jak wszystkie poprzednie, pogrążył się wczesnym rankiem w monotonii pustynnych krajobrazów, w powtarzalności codziennych rytuałów utonawszy. Wyruszyliśmy bez opóźnień, na popołudniowe godziny termin dotarcia do piramid, określając. Żadne ze zdarzeń po drodze zachodzących,

nie wydawało się terminu tego na późniejsze godziny przesunąć. Fakt zbliżania się do murów Kairu, potwierdzały zmierzające ze wszech stron karawany, jak gdyby wszystkie pustynne trakty do miasta tego, właśnie prowadzić miały. Nierzadki też był widok fellachów, w jednokołowych zaprzęgach oślich i mulich drogę nam przecinających. Zapewne ku żyznym nabrzeżom Nilu zmierzali i ku tamtejszym polom uprawnym, jako że workami zboża siewnego pewnikiem, owe wozy niewielkie, były wypełnione. Przeciężone muły z rzadka rżały przeciągle, a nasze klacze to usłyszawszy, starały się dźwiękom tym wtórować. Duch spokoju i opanowania w nas wstąpił, wszak wiadomym już było, że ku szczęśliwemu kresowi podróż tę doprowadziliśmy. Plan dalszego przebiegu zdarzeń, starałem się w umyśle nakreślić. Postanowiłem przy piramidach Selimowi oznajmić, jakobym majestat piramid w skupieniu kontemplować zamierzył, w tym też celu na dłuższy postój tam, zatrzymać się muszę. Klacz arabską postanowiłem przy piramidach mu zwrócić, odpoczynku niezbędnego zaczerpnąć i wejście do podziemi Sphixa odszukać. Myślni tymi zaprzętając głowę, migotliwy zarys piramid zauważyłem, z wolna a nieśmiało spoza horyzontu się wyłaniających. Z każdym sążniem pustyni przejechanym, ogromniały wielce, panoramę Kairu roztaczającą się w ich tle, przytłaczając. O ileż bardziej porażające zmysły, wrażenie musiały sprawiać nawet z tak sążnistej odległości, gdy białą oblicówką były pokryte, a szczyt najwyższej z nich, zgodnie z Herodota przekazem, wieńczył pokryty szczerem złotem piramidion. Promienie słońca z większej odległości, zdolne były zapewne wędrowców oślepić, budowniczym splendoru i respektu należnego przydając. Najzupełniej trafnym wydaje się arabskie przysłowie, w najmniejszym nawet stopniu nienadużyte „Ludzie boją się czasu, a czas boi się piramid”.

Selim trakt najbliższy do Kairu chcąc obrać, ku schodkowej piramidzie Dzesera się zwrócił i ku południowej bramie miasta, klacz skierował, zaklinając się że trakt to najkrótszy i najbezpieczniejszy, od wielu wieków sprawdzony. Długo przekonywać go musiałem, ażeby ostatnią przysługę mi wyświadczył i wraz ze mną do podnóża wielkiej piramidy się udał, gdzie klacz zwrócić mu miałem, kilka brzękliwych monet do rachunku końcowego, dorzucając. Na argument ten bez namysłu dłuższego przystał, klacz do żwawszej jazdy popędzając. Znalazłszy się w ogromnej plamie cienia, przez północną ścianę piramidy rzucanym, z klaczy wiernej z żalem niemałym zsiadłem. Wodze Selimowi przekazałem. Szpadel, kaganek oliwny wraz z oliwy zapasem, z juków dobywszy w przybocznej torbie umieściłem, a pęk pochodni nieporęczny pod pachę ująłem. Ku uciesze Selima w garść jego kilka monet wsunąłem, za wspólną podróż podziękowawszy, szczęścia w dalszej drodze winszując. Czas jakiś jego malejącą postać pośród tumanów piasku, końskimi kopytami wzniecanych widziałem, aż zniknęła zupełnie, odległą sylwetą piramidy Dzesera przysłonięta, po czym ku zwałistej ścianie wielkiej piramidy, skierowałem kroki. Przez kilka chwil dłuższych, jej niebotyczną wysokość starałem się wzrokiem okiełznać, aż w głowie do góry zadartej wirować poczęło. Wkrótce na pierwszy z kamiennych bloków, z niemałym trudem się wspiąłem i w bezruchu zaległem. Miły chłód zrazu na całym uczułem ciele, a wraz z nim sił witalnych przypływ, gdyby nie konieczność dopełnienia obowiązków na mnie czekających, mógłbym popołudnie całe, wieczór i noc nadchodzącą jak i cały następny dzień w tym chłodnym i cienistym miejscu spędzić.

Siły nadwątlone uzupełniwszy, do torby przybocznej sięgnąłem, resztki prowiantu i bukłak z wodą dobywając. Narastający głód i pragnienie z nawiązką uzupełniłem, a wędrujący ku wschodowi cień piramidy z niepokojem obserwując, na równe nogi powstałem z postanowieniem rychłego odnalezienia wejścia do podziemi i rychlejszego jeszcze z nich powrotu. Zeskakując z kamiennego bloku w miłym ugrzęznąłem piasku. Skostniałe nogi z trudem pierwsze postawiły kroki, następne już bardziej żwawe i wprawne, na otwartą przestrzeń pomiędzy wielką piramidę i Sphinxa mnie zaprowadziły. W cienistym podnóżu lwa z ludzką głową wkrótce też stanąłem, poszukując miejsca mogącego serce jego skrywać. Na jego piersiach narodził wydatną dostrzegłem i zrazu z sercem skojarzyłem. U piersi Sphinksa stanąłem nie-ruchomo po czym w kierunku narożnika południowo - wschodniego wielkiej piramidy spojrzałem. Nie odległym wydała się celem. Najkrótszy zamiar na narożnik ów obrałem, zdecydowanym krokiem ku niemu ruszyłem, bacząc by na sążeń nawet na bok z obranego kursu nie zboczyć, ani też o pół kroku

choćby, wyliczeń nie chybić. Jeden po drugim, w odległościach i odstępach równych, kolejne kroki ku wielkiej piramidzie mnie przybliżały. Dla pewniejszego uchwycenia równowagi, pęk pochodni zarzuciłem na bark przez który przebiegał pas podręcznej torby. Pewniejszym już na przód zmierzając krokiem, siedemdziesięciu z nich się doliczywszy, zdyszany wielce, by otrzeć pot na twarz ściekający, na moment przystanąłem. Uczułem serca głośniejsze bicie. Krew gorącymi strumieniami do głowy uderzająca, krople potu większymi czyniła. Pęk pochodni począł drzeć na barku. Strach dotąd nie odczuty, na dno świadomości zepchnięty, wbrew woli mojej dawał znać o sobie. Spotęgować go musiała świadomość znalezienia się twarzą w twarz z największymi megalitami starożytności, z najwyższą budowlą świata. Wrażenie odniosłem jakoby w jednym miejscu został unieruchomiony i władny nie był, żadną z nóg ciężkich jak kamienne obeliski poruszyć. Jakoby na pastwę słońca, piasku i tajemniczości miejsca tego wydany został. Jakoby wkrótce opasać mnie miały krwiożercze demony w wierzeniach egipskich występujące, a we śnie ostatniej nocy, objawione. Wydało mi się jakoby za ręce i nogi mnie obłapiły i do podziemi, do których zejść zamierzałem, siłą wciągały. Za wszelką cenę oprzytomnieć postanowiłem, wodą z bukłaka czoło i twarz polewając. Przed oczyma stanęły mi hieroglify przez Amona Ra podyktowane. Przywołałem w pamięci obraz córki mojej Zorajdy. Wspomniłem o przyszłości jej i jej dzieci, w tej samej chwili trwałe postanowienie powziąłem o konieczności powrotu z wyprawy tej cało, w kondycji zdatnej do uwiadomienia współczesnych, o wszystkim czego podczas wyprawy do jednej z komnat piramidy, doznam i doświadczę. Myślą tą pokrzepiony pewniejszy uczułem grunt pod nogami, one zaczęły być kolejne postąpić kroki. Pozostałe kroków trzydzieści bez większego odliczyłem trudu. W miejscu wskazanym instrukcją stanąwszy, szpadłem wokół siebie zatoczyłem okrąg. Wprawny i dziarskim sztychami, osypujący się na boki piach począłem usuwać. Pogłębiający się wykop co i rusz poszerzać musiałem, jako że piasek miałki do wnętrza wykopu, nieustannie przenikał. Pośród pustyni stojąc, po kolana zagłębiony, pod nogą opór uczułem i zgrzyt szpadła usłyszałem, na kamieniu zatrzymanego. Przystałem się też głębiej w grunt grząski zapadać. Ostrze szpadła ku dołowi skierowane, z głazem nad wyraz twardym snadź spotkać się musiało, bo dźwięk metaliczny po okolicy się rozszedł. Resztki piasku na dnie wykopu zaległe, z łatwością usunąłem, a oczom moim płaszczyzna kamienna o gładkości wielkiej się ukazała, wraz z otworem okrągłym, nadal piaskiem wypełnionym. Piasek ten począłem palcami wydobywać, jako że dłoń cała w wyłobienie owo okrągłe, nijak zmieścić się nie chciała. Czynności tej dokonując, ku płycie kamiennej pochyłony, okrągły zarys na powierzchni jej zrazu dostrzegłem. Ostatnie ziarna piasku z okręgu zmiotłem, by w otwarciu włazu do podziemi nie przeszkodziły. Nie czekając nim wiatr na powrót świeży piasek nawieje, drzewiec szpadła w otworze kamiennym umieściłem i zgodnie z kierunkiem ruchu słońca, na dźwignię tę naparłem. Jakże wielkim zdziwienie moje było, gdy użyta siła nadmierną się okazała. Okrąg kamienny z łatwością niezwykłą wokół osi swej wykonał obrót, w nieme osłupienie mnie wprawiając, zważywszy że wrażenie nadzwyczaj ciężkiego sprawiał. Obrócony o sto osiemdziesiąt stopni, czeluść czarną ukazał, a w niej schody strome, do podziemi prowadzące. Bez namysłu dłuższego z torby podręcznej dobytek krzesiwo, kaganek oliwny i butelkę oliwy, pakułami zaszpuntowaną. Kaganek paliwem napełniwszy, na knot konopny począłem krzesać iskry. Wkrótce też zapłonął, płomieniem z początku chwiejnym i ulotnym, a dłonią od wiatru osłonięty, z minutą każdą nabierał trwałości. Szpadel pod piaskiem ukryłem, kamienną płytę wokół włazu piaskiem przysypałem, aby ktoś w pobliżu przypadkiem przejeżdżający, w miejscu tym wzroku nie utkwiał. Pochodnię pierwszą z brzoza dobytek, od płomienia oliwnego, odpaliłem. Resztę pochodni do torby podręcznej przytrzymywałem. Tak w dwa źródła światła zabezpieczony, ku podziemnym czeluściom niepewne i drżące skierowałem kroki.

Schody okazały się być nader stromymi, lecz szerokimi, a stopnie pozwalały na swobodne postawienie stopy. Nie posiadałem wyobrażenia jak głęboko schody te zaprowadzić mogą, jednak po ujściu stopni trzech tuzinów, otwór ponad głową pozostawiony, małym jak jednofrankówka się wydał. Światło natomiast przezeń wpadające, docierało do mnie w niewielkiej już ilości. Pewnym krokiem kolejne poko-

nywałem stopnie, na boki bacząc, by żadnej z naściennych wskazówek, czy też drogowskazów nie pominąć. Póki co informacji żadnej dostrzec nie mogłem, w zamian krąg światła przez kaganek i pochodnie wzniecony, ciemności nieprzebrane pochłaniał, niczego ponad kolejne schody nie ukazując. Gdy otwór wejściowy stał się mały jak pojedyncza gwiazda, na tle nocnego nieba widoczna, na płaskim podłożu postawiłem nogi. Wyczuwając pod butami grunt stabilny, nie rzeczywistym najzupełniej, wrażenie to zwyczajne się wydało. Pochodnią szerszy krąg zataczając, upewniłem się czy aby niżej kolejne schody nie prowadzą. Jaskrawe światło zdawało się przede mną gładką oświetlać podłogę. Uszedłem z górą kilkadziesiąt kroków, gdy na ścianie podziemnej sali, ku której zmierzałem, zarysy trzech portali dostrzegłem. Stanąwszy przed nimi, zrazu się domyśliłem że dla wtajemniczonych i drogę tę częściej przemierzających, właściwy wybór któregoś z nich nie stanowił wyzwania. Niepożądanych przybyszów natomiast w zakłopotanie miał wprowadzić, a nietrafny wybór ku ślepemu wejściu skierować. Któryś z portali labiryntem mógł się kończyć, nieproszonego śmiałka po wsze czasy uwięzić zdolny.

Od przyjaciół przed laty z Egiptu powracających, niejednokrotnie wszak słyszałem o istnieniu przemysłnych zapadni, tuneli bez wyjścia, pułapek śmiertelnych, na rabusiów skarbów i kosztowności oczekujących. Przez umysł myśl przemknęła, że gdzieś w pobliżu muszą się kryć także wskazówki dla pożądaných i wtajemniczonych przybyszów, wszak dla nich miejsce to zostało przeznaczone. Wtajemniczonymi zaś byli pismo hieroglificzne znający, jako że tacy tylko zdolni byli wiedzę tutaj skrywaną osiąść i do wskazanych celów wykorzystać.

Ku ścianie z portalami trzema, na wyciągnięcie dłoni się zbliżyłem. Kamienne bloki z kurzu i pajęczyn gęsto zaplecionych otarłem i pod światło pochodni począłem się im przypatrywać. Niczego co wskazówką mogłoby się okazać nie spostrzegłszy, ku górze ponad portale wzrok i pochodnię skierowałem. Nie mniej gęste pajęczyny tę część ściany pokrywały. Wprzód kilka zamasztych okręgów pochodnią wykonałem, zanieczyszczenia wszelkie ze ściany usuwając. Spod warstwy pajęczyn pyłem i kurzem oklejonych, wyłonił się ciąg hieroglifów, w rodzaju sentencji niedługiej lub też słownego talizmanu. Zbliżyłem ku nim pochodnie, w jaskrawym blasku ognia kolejne słowa odczytując „Tylko uczciwy, szlachetny i prawy owocu wyprawy tej zasmakuje”. Treść zapisu tego wielce mnie zaciekała lecz nadal do położenia swego, w żaden sposób odnieść jej nie potrafiłem. Zmęczoną dłoń, trzymającą pochodnię niżej dla odpoczynku opuściłem. W jej świetle, tuż nad sklepieniem portali, tym razem mniejsze hieroglify zamajaczyły. Nad lewym z nich dopatrzyłem się wizerunku drapieżnego ptaka, symbolizującego zdradę, nad wejściem środkowym pióro Maad - synonim niewinności, zaś ponad prawym znak pełzającego węża, kłamstwo oznaczający. Wiedziałem już, które z wejść do celu wędrowki doprowadzić może. Pierwszy krok wykonując na przód, drżenie w piersiach uczułem. Wcześniej wielokroć podobnego uczucia doznawałem, szczególnie w przełomowych życia momentach, o dalszym jego biegu decydujących. Znane mi ciepło wokół serca się rozlało, w świadomości mnie utwierdzając, że wyboru właściwego ponad wszelkie wątpliwości, dokonałem. Sala, której nie mogłem oświetlić ni blaskiem pochodni, ni kaganka, zwęziła się do korytarza, mogącego dwóch idących obok siebie ludzi, ledwie pomieścić. Kroczyłem naprzód, starając się stopami określić wytrzymałość każdej z kamiennych płyt, posadzkę współtworzących. Korytarz ten, tuż przede mną niespodziewanie skręcił, raz w prawo to znów w lewą stronę, aż za zakrętem którymś, zdolność określenia kierunku z którego przybyłem, zupełnie zatraciłem. Każdy z kroków uważnie stawiając, w wyznaczonym mi kierunku, z wolna podążałem. Przeczucie po raz już wtóry nieomylnym się okazało, pomiędzy płytami czeluść czarna się ukazała, na długość kroku rozległa. Z odległości bezpiecznej w dół rozpadliny przepastnej, kagankiem przyświeciłem. Na dnie odległym o kilka sążni, pod jednym ze ściennych naroży, zwłoki ludzkie dostrzegłem, w biały burnus owinięte. Wokół nich płaskie bryły gliny w nieładzie były porozrzucane, do złudzenia płyty posadzki przypominające. Powtórnie ku mumii zwróciłem spojrzenie. Gdyby nie skóra twarzy do czaszki przyschnięta, oczy w oczodoły zapadnięte, nosa czubek nienaturalnie ku dołowi zakrzywiony, rzec bym mógł bez zastanowienia, że człowiek ów zasnął, wędrowką długą przez pustynię znużony. Stopy w skórzanych sandałach za-

stygłe, wydawały się być gotowe do dalszej drogi, w każdej sekundzie ciało siedzące poderwać, a splecione na kolanach dłonie, o ścianę się wesprzeć i nogom w powstaniu dopomóc. W rzeczywistości śmiałek ów musiał w niewyobrażonych męczarniach śmierci głodowej dokonać, uprzednio na zdradziecką, gliniana płytę wstąpiwszy. Widokiem tym przerażony, ku ścianom korytarza uniosłem kaganek. Na krok przed śmiertelną pułapką, dostrzegłem na ścianie krótką inskrypcję z kilku hieroglificznych rytów złożoną. Zbliżyłem kaganek i złożenia dłonią przetarłem. Odczytałem napis, „Wzdłuż znaków tych stojąc, wykonaj krok w długości swej podwojony”. W lot zrozumiałem wówczas że z uwagą większą należy ścianom się przyglądać, niżeli pod nogi baczyć. Rozbieg biorąc niewielki, na przeciwległą krawędź komory przeskoczyłem, pewnie pod pachą pochodnie schwywszy. Nim kolejny krok wykonałem, ściany światłem omiotłem, każdą głębszą rysę starając się dostrzec. Metodą tą się posługując, na odległość trzech kroków przed sobą, czyhające niebezpieczeństwo, przy odrobinie szczęścia i wprawnym oku byłem w stanie uprzędzić. Wrażenie odniosłem jakoby dźwięk kroków moich jak i serca głośny łomot, niosą się echem po całej piramidzie, od ścian kamiennych odbite.

Korytarz, w dalszym swoim biegu, jeszcze dwukrotnie w obie strony, pod kątem prostym, zdawał się zakrzywiać. Na kolejnej długości, liczącej kilkanaście kroków, dostrzegłem na posadzce rozsypyany piasek. Zbliżywszy się na odległość niewielką, spośród piaskowej kałuży poczęły się wyłaniać dwie pary ludzkich dłoni, w nadgarstkach zgięte. Spod skóry złuszczonej, w wielu miejscach wyzierały białe kości palców, na różne wykrzywione strony. Wrażenie sprawiały jakoby w wyrażających gestach, przed posuwaniem się na przód, kolejnych śmiałków chciały przestrzec. Któraś z dłoni, najpewniej w konwulsji przedśmiertnej, w pięść zacisnęła palce. Przez czas dłuższy wpatrywałem się otępiałym wzrokiem w widok ten przerażający, przestroga mogący być dla śmiałków, nazbyt w siły swoje ufnych, na ostrzeżenia wszelkie nie zważających. Kaganek ku ścianie skierowawszy, spojrzeniem uważnym, ściany wokół siebie omiotłem. Tuż przed piasku sztuczną wydumą, na obu ścianach ryty hieroglificzne bez trudu dostrzegłem. Ostrzeżenie następującej zawierały treści, „Plecami do którejś ze ścian będąc zwróconym, pięty twoje do jej powierzchni przyłgnąć muszą, w pozycji tej z wolna na przód krocząc, ominiesz bezpiecznie zdradliwe piaski.” Druga z inskrypcji identyczny tekst zawierała. Innych rytów nie mogąc się dopatrzeć, do wskazówek życie ratujących, odniosłem się w szczególności każdemu. Żałosny widok dłoni wystających z piasku, świadectwem uduszenia będący, przez długie minuty jeszcze mi towarzyszył, jako że każdy ruch stóp swoich śledzić musiałem, by w momencie nieuwagi w piaskach grząskich się nie pogрузić. Po stronie przeciwnej śmiertcionośnej wydmy już będąc, kroku znacząco przyspieszyłem. Kolejne zakręty pokonując, odniosłem wrażenie jakoby korytarz ten, ku początkowi swojemu zawracał, by później znów ku miejscu nieznanemu, w kierunku przeciwległym do wejścia, podążyć. Łamańce te wymyślne, na długo przed budową podziemi najpewniej zaplanowane, ku dezorientacji nieproszonych gości, posłużyć zapewne miały. Domysły wszelkie, przez umysł rozbudzony podsuwane, postanowiłem w pamięci na czas późniejszy zachować, a uwagę całą na dostrzeganiu bezcennych ostrzeżeń skoncentrować.

Nim zdążyłem ująć kolejnych kroków trzydzieści, zza załomu nagłego, dostrzegłem postać stojącego człowieka. Z pozoru barkiem o ścianę się wspierał, plecami do mnie odwrócony. Dopiero gdy kilka kroków naprzód wykonałem, ściany ogniem omiatając w poszukiwaniu inskrypcji kolejnej, dostrzegłem z boku jego wystające cztery długie, metalowe ostrza, rdzawą warstwą zaschłej krwi pokryte. Wnikliwiej jeszcze obu ścianom się przyjrzałem, tuż za plecami nieszczęśnika niepozorny dostrzegłem napis, „Jeśli nie chcesz by zęby krokodyla cię pożarły, wzdłuż ściany przechodź przeciwnej”. Przyglądałem się z bliska zamarłej twarzy, jej rysy jak i blond włosy wyraźnie na europejskie wskazywały pochodzenie. Surodki w kokony pajęczyny opleciony, nie wiele się od mojego różnił. Bardziej był może w szamerunki i lamowania zdobny, jakie w Europie, w epoce nieodległego baroku noszono. Oczu nie zdążył w przerażeniu nieszczęśnik ten zamknąć, a wzrok pajęczyną zaciągnięty, wydawał się być we mnie utkwiony. Wrażenie to niezapomniane, spojrzenie przed dwoma wiekami zamarłe na twarzy swojej poczuć. Zdolne jest ono wszystkie inne straszności, grozą swoją przyćmić. Przeciwnej ściany się trzymając, wyminąłem

nieszczęśnika i niestrudzenie w dalszą, ku ciemnościom udałem się drogę.

Kolejny ostry skręt korytarza w prawo, zdawać by się mogło, skierował mnie w stronę z której przyszedłem. Nie pozostało mi nic ponadto, jak tylko wraz z kierunkiem pokrętnym podążać, wiary nie tracąc w słuszność kierunku obranej.

W blaknącym płomieniu pochodni, rozrzucającym po ścianach nikle światła refleksy, dostrzegłem kolejne ryty, grubą warstwą pyłów pokryte. Chcąc tekst bezbłędnie odczytać, odrzuciłem gasnącą pochodnię, od płomienia blaknącego, nową odpaliwszy. Tekst należycie podświetlony z wnikliwością wielką, odszyfrowałem „ Paszcze węży ze ścian wystające, piasku ilości nieprzebrane u stóp twych rozsypią, na wieki cię pograżając. Jeżeli nadal brnąć na przód zamierzasz, na ogon węża z podłogi wystający z całych sił nastąpić musisz”. Rozświetliłem przed sobą mroki korytarza, na kilka kroków długie. Zgodnie z przekazem, ze ścian obu rozwarte pyski węża wyzierały, głowę ludzką mogące pomieścić. Czubek pochodni ku posadzce skierowałem. W odległości paszczę węża o krok poprzedzającej, dostrzegłem grzbiet kamienny, ponad posadzkę wystający. Dopiero w świetle kaganka podobieństwo do wężowego ogona dostrzegłem, z decyzją nie zwlekając, prawą stopą na kamień ten napałem. Ze zgrzytem ustąpił i pod podłogą zniknął. Z poczuciem lęku stopę uniosłem, w obawie że mechanizm zapadni, tysiącleciami bezruchu unieruchomiony, nie zadziała i ogon węża na powrót ku górze uniesie. Wbrew obawom przedwczesnym zadziałał bez szwanku, ja zaś nie wiedząc jak długa wędrówka mnie czeka, czasu nie chcąc marnotrawić, w dalszą wędrówkę wyruszyłem.

Krocząc na przód, przeświadczenie osiągnąłem że w miejsce to, nikt przede mną najpewniej nie dotarł, jako że trupa żadnego w miejscu ostatniej pułapki nie napotkałem. Z tego też powodu uwagę wzmoc postanowiłem, jako że na własną spostrzegawczość w drodze dalszej będę tylko zdany. Na potwierdzenie słuszności wniosków swoich nie musiałem długo czekać, po prawej ręce kolejna ukazała się inskrypcja, przyłożyłem doń płomień pochodni i ryty odszyfrowywałem począłem „ Jeśli nie chcesz, by kolec skorpiona stopy twoje przekłuł, na płytach rogami złączonych, stawiaj dalsze kroki”. Pochodnię i kaganek pewniej ująłem w spocone dłonie, by z palców drżących, w miejscu tak niebezpiecznym się nie wysunęły. Z uwagą bezmierną każdy krok oświetlając, do końca posadzki we wzór planszy szachowej ułożonej, szczęśliwie doznałem. Nie zamierzałem nawet rozważać jak ów kolec skorpiona mógłby wyglądać, jedno wszak wątpliwości nie ulegało, jeżeli cokolwiek miałyby przebić stopę, a rana nie okazałaby się śmiertelną, kulejący wędrowca miejsca tego, w żadnym razie żywym opuścić by nie zdołał. Znikając za kolejnym załomem, ścianom okolicznym ze szczególną atencją uwagę poświęciłem, czy przypadkiem w rozwidlenie kolejne tunel ten nie został wyposażony. Szczęśliwie odnóg, wnęk drzwiowych na żadnej ze ścian nie dostrzegłem. Z niepokojem nie mniejszym spojrzałem na kolejną, wypaloną pochodnię. Wiedząc że marszu przyspieszyć nie mogę, myśli niepokojące w głowie zawirowały. Obawy dotyczyły zapasu łuczyw, czy te okażą się wystarczające, by korytarz tak długi w obie strony przemierzyć? Na koncept w momencie tym wpadłem następujący; z tuniki pasy płócienne darł będę, wokół drzewca owijał, oliwą nasączał, a zapłonione, światła nie mniej jasnego dostarczą. W ten sposób oryginalnych łuczyw zaoszczędzę. Skonstruowana tak pochodnia ogniem nie mniej gorącym zapłonęła, a ja krzepko zdzierzywszy ją w dłoni, ściany brunatne blaskiem jaskrawym omiotłem. W ogniu oliwą podsyconym, w czas niedługi, kolejne napotkałem ostrzeżenie. Wzrok zmęczony ku hieroglifom zbliżyłem i wyszeptalem ”Kamienie z sufitu spadające, w miejscu tym, z przodu i z tyłu zagradzają drogę. Nie chcąc być pomiędzy nimi uwięziony, na przyj na blok kamienny w kształcie cegły mułowej tuż pod zapisem tym, w ścianę wmurowany”. Tak też uczyniłem. Niewielki kamień w kształcie cegły mułowej, zanurzył się w ścianie, a wkrótce ze zgrzytem powrócił na swoje miejsce. Zdziwiony tak sprawnym działaniem mechanizmu sprzed tysiącleci, za kolejnym załomem korytarza zniknąłem. Przez moment zastanowiłem się czy niczego nie świadom, nie podzielałem właśnie losu napotkanych śmiałków po wsze czasy tutaj uwięzionych, do labiryntu bez wyjścia się dostawszy.

Jużem był gotów w rojenia te uwierzyć, gdy pośród iskier przez pochodnie rozrzucanych, wyłonił się z

gęstej pomroki kontur sali wysokiej i przestronnej. W jego wnętrzu się znalazłszy, przed oczyma mymi w oddaleniu znacznym kontur stromych schodów zamajaczył. Przeczuciem tknięty zbliżyć się do nich nie zamierzyłem. Podeszedłem do najbliższej mi ściany, wzdłuż której schody te, bieg swój rozpoczynały. Ścianę tę, dokąd tylko zdołałem pochodnią sięgnąć światłem obrzuciłem, każde spęknięcie, rysę każdą starając się dostrzec. Zamierzałem już pochodnią pod nogi przyświecić, uznając że na powierzchni tak rozległej wszelkie inskrypcje byłyby niezauważalnymi, gdy oczy zmęczone, w półmroku przymuszone czytać, dostrzegły pierwsze z hieroglifów. Po kolejnych znakach wodziłem rozbieganym wzrokiem, w sens rozproszone ryty składając. Dla pełniejszego zrozumienia treść ich, na głos odczytałem "Chcąc bezpiecznie schody te pokonać, rachubę stopni kolejnych posiąść musisz. Począwszy od stopnia pierwszego, na stopnie 35, 68, 175, 287 wstąpić ci nie wolno". Radość i złość niewysłowna na zmianę mną owładnęły. Radowałem się z możliwości uniknięcia śmierci niechybnej, równocześnie złość mną targała, że po raz nie wiedzieć już który, ścisłych wyliczeń przestrzegać muszę, a pomyłka o jedną liczbę chociażby, na niechybną zagładę skazać mnie może. Rachunki te czyniąc, nade wszystko baczyć muszę, by równowagi na schodach stromych nie stracić i karku spadając z nich nie skrzywić. Dopalający się kaganek postanowiłem wygasić, ażeby pewniejszą postawę przyjąć i ryzyko upadku wykluczyć. Trzymana w lewej dłoni pochodnia, wystarczyć musi do ścian oświetlenia, na okoliczność odczytania kolejnych rytów, życie ocalających. Kaganek oliwny do przybocznej torby chowając, zwój papieru i grafion dobyte, po czym numery stopni z precyzją wielką zapisałem. Wdech głębszy biorąc, głośno liczbę jeden wypowiedziałem i na stopień pierwszy wstąpiłem. Nie mniej głośno kolejne wypowiadałem liczby, a do cyfry 34 dobrnąwszy, krok podwójnej długości wykonałem. Spojrzałem w dół, światło pochodni, niewielki tylko krąg blasku wokół mnie roztaczało, tym samym wysokości na jakiej się znalazłem, szczęśliwie dla mnie nie mogłem określić. W przeciwnym razie, lęku wysokości niechybnie doznałbym, co położenie moje bardziej jeszcze trudnym, by uczyniło. Pierwszy z feralnych stopni miałem już za sobą. Przerwane wyliczenia od liczby 35 wznowiłem. Ku kolejnemu śmiercionośnemu stopniowi się zbliżając, mapę przebytej drogi starałem się nakreślić. Zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem, jeśli pierwszy z krańców wielkiej sali, rozpoczął się pod schodami którymi tutaj zszedłem, to na drugim z krańców sali właśnie się znalazłem. Najpewniej też teraz, tę samą wysokość schodami w górę, pokonać mi przyjdzie. Znajdę się zatem, w przybliżeniu wysokość tę wyznaczając, z powrotem pod powierzchnią pustyni, co najpewniejsze jednak się wydaje, wewnątrz wielkiej piramidy, na najniższym z jej poziomów. Zbliżając się do liczby 67, porzuciłem wszelkie rozważania. Siły umysłu starając się na pokonaniu śmiertelnej pułapki skoncentrować. Wprawę niejaką posiadłszy i tę przeszkodę bez trudu większego pokonałem. Do kolejnych zapadni z mniejszym już respektem podeszedłem, niebawem też spoza kręgu niemrawo sączącego się światła, dostrzegłem zarysy wnętrza znacznie rozleglejszego.

Pewniej już na nogach stanąwszy, kaganek oliwny dobyte z przybocznej torby, a w świetle podwójnym, szerszą przestrzeń mogłem objąć wzrokiem. Wzdłuż ściany się posuwając, kolejnych wskazówek wypatrywałem. Co najmniej dwa tuziny kroków wykonawszy, żadnej z nich nie dostrzegłem. Przeszedłszy kolejny tuzin, osiagając przeciwległy kraniec wielkiej sali, przed bramami dwiema dostrzegłem dwa posągi. Wzrostem człowieka co najmniej po dwakroć przewyższały, żadnej też wokół nich inskrypcji nie było. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, postacie te dla starożytnych bywalców rozpoznawalne były, a wybór jednego z przejść, oczywisty. Posągów tych jednak z żadnym ze znanych mi wizerunków nie mogłem skojarzyć. Moja wiedza o starożytnych Egipcjanach i kulturze ich, powierzchowną nader jeszcze była, jak i innych, bez wyjątku europejskich badaczy. Krok dłuższy postąpiłem na przód i pochodnię ku jednemu z mrocznych korytarzy skierowałem. Rozpocząły się tuż za posągami i niknęły w mroku. W świetle pochodni na ścianach korytarzy, liczne dostrzegłem reliefy. Pośród rytów hieroglificznych, nie różniących się niczym od dotąd widywanych, dostrzegłem postacie naturalnych rozmiarów, nigdy dotąd wzrokiem nie doświadczone. Z atencją niezwykłą profile ich obserwując, uwadze ujść nie mogły podobieństwa liczne do posągów obok mnie stojących. Posągom tym jałem się przyglądać nie tylko am face,

ale i z profilu. Ich podobieństwo wzajemne żadnej nie pozostawiało wątpliwości. Wystarczyło tylko kartusze ponad postaciami, na ścianie umieszczone odczytać, by wiedzę niezbędną na temat rzeźb kamiennych posiąść. Okazała się nią być bogini Maat we własnej osobie, z wyglądu mi nie znana, jeno z właściwości, znany mi symbol kosmicznego porządku, sprawiedliwości, prawdy, mądrości, równowagi i harmonii. Dopalając się pochodnię w mrokach drugiego z korytarzy, zanurzyłem. Ściany jego również spowiadały ryty. Pośród nich profil nie znany mi spostrzegłem, a wizerunek jego do podświetlonej kagankiem rzeźby kamiennej, odniosłem. Oba profile identyczne się okazały. Zapis hieroglificzny, ponad reliefem wykonany, niezbitcie na wizerunek boga Seta wskazywał, ucieleśnienie wojen, burz, ciemności i chaosu, jak po namyśle krótkim zdołałem skojarzyć. Wybór właściwego korytarza stał się jasny jak światło pochodni. Dłużej też czasu nie mitrząc, próg strzeżony przez boginię Maat przekroczyłem. Znalazszy się w korytarzu, niczym nie różniącym się od poprzednio przebywanych, dogasające łuczywo strzępem tuniki owinąłem i ku zmartwieniu najwyższemu, ostatkiem oliwy oblałem. W krople ostatnie kaganek zasilając w nadziei szybkiego odwrotu, na przód postąpiłem. Odruchowo już pochodnie ku ścianie zbliżyłem, wkrótce też pierwsze napotkałem reliefy. Wskazywały one na podążanie korytarzem ku komnacie górnej wielkiej piramidy. Do torby przybocznej sięgnąłem po zapiski w Karnaku, w krypcie kaplicy poczynione i na głos, dla zrozumienia lepszego, czytać począłem „Znając wysokość wielkiej piramidy na sto czterdzieści sześć kroków obliczoną, krokami odległość dzielącą cię od każdej z komnat wyliczać będziesz. Wiedzieć musisz że jeden stopień schodów, do każdej z komnat prowadzących, połowie jednego kroku odpowiada. Wysokości komnat dokładnie zanotuj. Wysokość wielkiej piramidy przez 2 podzielona, wskaże ci szczyt wyższej komnaty. Przez 3 podzielona, wysokość sufitu rzeczony komnaty określi. Wysokość piramidy dzieląc przez 4, szczyt komnaty średniej uzyskasz, przez 5 wielkość ta podzielona, wysokość komnaty dolnej ukaże. W dolnej komnacie będąc, ku lewej ręce skieruj swe kroki, tam do komnaty średniej sprowadzą cię schody. Cel to będzie ostateczny twej trudnej wyprawy.”

Z wyliczeń tam przedstawionych wynikało niezbitcie że 36 i pół kroku wykonać muszę, czyli pokonać 73 stopnie, by do komnaty średniej się dostać. Nim jednak to nastąpi osiągnięcie poziomu dolnej komnaty koniecznym będzie, a z wyliczeń moich podczas postoju nocnego wykonanych, niezbitcie wynikało że 29 kroków w tym celu wykonać muszę, zatem pokonać 58 stopni. Skręciłem ku schodom w dół prowadzącym, zanim jednak pierwszy krok wykonałem, ściany dookoła uważnym wzrokiem przebiegłem, a nie napotykając hieroglifów żadnych, każdy krok głośno odliczając, schodami ku dołowi zstępować począłem.

Z każdym krokiem na głos odliczanym, przekonanie nieodparte we mnie narastało, jakobym ku bardziej jeszcze zdradliwym kierował się miejscom. Świadomość ta jednak, nieznanym mi odruchem ciała i umysłu, nie nakazywała zatrzymać się i z drogi ryzykownej zawrócić. Odruch ten musiał mieć wiele wspólnego z postawą żołnierza rzuconego do zgiełkliwego boju, gdzie życie w chwili każdej gotów był postradać, byle by do odwrotu nie doprowadzić i rozkaz jeneralski wykonać. Wówczas i żołnierz ów zapewne o położeniu swym tragicznym nie rozmyślał, czynił wszystko, co tylko możliwe, by z opresji śmiertelnej z życiem ująć, jeśli nie cało to przynajmniej zdrowo. Myśлом tym nie wiedzieć skąd się pojawiającym, kres ostateczny położyło odliczenie pięćdziesiątego i ósmego stopnia. Przyjąć mogłem za pewnik, znalezienie się na poziomie komnaty dolnej wielkiej piramidy. Mroki wokół siebie rozświecając, wrota do komnaty tej w oddali dostrzegłem. Ciekaw byłem wielce wyglądu jej wnętrza, jednak, rozsądku podszeptem narastającej ciekawości odpór dałem, na niebezpieczeństwa kolejne nie chcąc się narażać, a nade wszystko pochodni palić po próżnicy. W zamian postanowiłem niezbędnych wyliczeń dokonać. Jeżeli do komnaty dolnej wykonałem 29 kroków, wysokość zaś wielkiej piramidy na sto czterdzieści sześć kroków została wyliczona, to podzielenie jej przez cztery, dać musi 36 i pół kroku i wysokość średniej komnaty stanowić. Pokonać więc muszę 7 i pół kroku, by u wrót komnaty tej stanąć. Zatem schodami po lewo pokonać muszę 15 stopni, za każdy krok dwa stopnie przyjmując. Na pierwszym stopniu stając, ścianę mi najbliższą obrzuciłem spojrzeniem wnikliwym. Ku zdziwieniu memu żadnej in-

skrypcji o zapadniach mówiących, nie napotkałem. Snadź budowniczy, uznać musieli że łotrzykowie, rabusie i niegodziwcy wszelacy w pułapkach poprzednio instalowanych, żywot swój niecny dokonać musieli. Pewnym i zwinnym krokiem stopnie te pokonałem, niezachwianym odliczając je głosem. U wejścia do komnaty średniej na moment przystanąłem, kartuszy wypatrując, w miejscach temu podobnych zwykle umieszczanych. Inskrypcji żadnej nie napotkawszy, próg komnaty przekroczyłem.

O ile poprzednio wszystkie niekończące się korytarze pokonując, wciąż kluczyłem u podnóży wielkiej piramidy, tak teraz wszelkie wątpliwości wykluczając, znalazłem się w jej wnętrzu. Krocząc ku przodowi, starałem się wzdłuż najbliższej ściany podążać, by jedyny dostępny mi oręż w batalii z wrogim otoczeniem – dekryptaż naściennych zapisów - w pełni na obronę swoją wykorzystać. Na żadnej ze ścian jednak, reliefów żadnych nie napotkałem, w zamian ku ścianie przeciwległej do wejścia się zbliżając, zarys posągu dostrzegłem. Po dwakroć mógł on wysokością wzrost człowieka przekraczać, chcąc postaci jego bliżej się przyjrzeć, szerszy pochodnią zatoczyłem okrąg. Posąg ów w ludzkie obleczony kształty, okazał się być wagą olbrzymich rozmiarów, zakończony rzeźbą głowy Ozyrysa. Ramiona jego względem siebie rozpostarte, liny konopne obciążały o splotach grubych jak ludzkie przedramię, wokół nadgarstków przerzucone. Liny te unosiły ciężar dwu łodzi, z drewna wykonanych. Postąpiłem kilka kroków na przód, by unikalnemu wytworowi rąk starożytnych z bliska się przyjrzeć. Łodzie, za szale wagi służące, w wielkości swojej, ludzi kilku zdolne były unieść i falom Nilu bez trudu się przeciwstawić. Łączenia drewnianych szczap, z pomocą lin konopnych wykonano. Niecodziennością znaleziska oczarowan wielce, na palce się wspiałem i pochodnią ku wnętrzu jednej z łodzi przyświeciłem. Ciężkie wieko drewniane, pokrywało łódź po prawej stronie zawisła. Wyżej na palce się wspinając, szczeliny pomiędzy deskami dostrzegłem, pomiędzy nimi zaś witraż niewielki. Na czubkach palców stanąwszy, okrąg pochodnią ponad wiekiem zatoczyłem, po czym w witrażu wzrok utkwiałem. Dostrzegłem w nim kamiennych głazów kształty nieregularne i rumoszu granitowego pokaźną ilość, zapewne z obróbki bloków do budowy piramidy pochodzące. Chcąc dostać się do drugiej z łodzi, wagę całą obejść w okół zmuszony byłem. Za postacią Ozyrysa będąc, na tylnej ścianie komnaty dostrzegłem kontury kolejnych hieroglifów. Oczy mrużąc w blasku pochodni, wzrokiem przenikliwym do nich przywarłem. Z uprzednio odczytanymi je porównując, wydały się z razu mniej wyraziste i nieporadne w wykonaniu, czytelnymi jednak były i nie mniej od innych sens oddawały. Wrażenie sprawiały pojawienia się w okresie późniejszym, niżeli kamiennych bloków ustawienie, jak gdyby ścianę tę wznosząc, potrzeby ich wyłobienia nie przewidziano, pewnikiem też ręka niedoświadczonego rytownika je wykonała. Pomiędzy nimi, w centrum samym wizerunek bogini Maat, dostrzegłem, obok niej zaś Ozyrysa, niewiele tylko bazaltowemu posągowi bogini, wielkością ustępujący. Scena majestatyczna ukazywała sąd nad umarłymi. Ozyrys trzymający wagę w prawej dłoni, wyciągniętej przed siebie, w rozkroku nienaturalnym pozował, nogi w jednej linii ustawivszy. Pochodnię w górę uniosłem, by zapisy najwyżej umieszczone, w pierwszej kolejności odczytać. Wzrok wyteżyłem i wraz z kolejnymi wersami ku dołowi przesuwałem „Całą wiedzę ludzkości tutaj spisana, szlachetny, prawy i sprawiedliwy tylko osiąść może, ażeby do celów niegodziwych i niecnych, po raz wtóry nie była wykorzystana, a równowaga Maat tak w kosmosie jak i w społeczeństwie ludzkim nie była zaburzona. By klęski rozliczne ludzkości nie dotykały, będące karą za harmonii wszechświata zakłócenie, niezbędnego warunku jego istnienia”.

Tuzin kroków na przód postąpiwszy wizerunki boga Ozyrysa i bogini Maat wyminąłem, po czym ku drugiej części inskrypcji zbliżyłem pochodnię. „Sąd nad uczciwością twoją, tym razem za życia twego się odbędzie. Podczas sądu tego, serce twoje i pióro prawdy, jako odważniki nie będą potrzebne. Uczciwości, sprawiedliwości i prawości swojej, dowiedziesz uczynkiem. W łodziach, którymi zmarli po zaświatach żeglują, spoczywają dwa ładunki, wartością nierówne. Jedna z łodzi kamieniami jest wypełniona, drugą szczerze złoto wypełnia po brzegi, zmarłym w drodze w zaświaty niezbędne.” Oczom własnym nie dowierzając ku tyłowi kilka wykonałem kroków. Zbliżyłem się do drugiej z łodzi, przez witraż niewielki do wnętrza zaglądną. Blask jaśniejszy od ognia, w dłoniach dzierżonego, zrazu mnie oślepił.

Oczy zmrużywszy, złotych precjozów dopatrzyłem się kształty. Do szpar pomiędzy deskami rozeschłymi przyłożyłem oko. Pomiędzy łożami inkrustowanymi złotem i kością słoniową, stał tron w wielobarwne kamienie inkrustowan, na mim zaś szczerozłote diademy spoczywały. Szkatuły z kalcytu złotych ozdób pełne, misternej biżuterii i trudna do ogarnięcia przez wąską szparę, nieprzebrana ilość precjozów bezcennych. Pośród nich jałem rozpoznawć bransolety z wizerunkiem skarabeusza, półkoliście zakończone napierśniki, ponadto zwoje złotej blachy łożć tę niezwykłą po brzegi wypełniały. Niedowierzaniu swojemu nie mogłem dać odporu. Kruszczo szlachetnego do pozłoty całego Wersalu by stało jako też Luwru wnętrz przepastnych. Wszelkie relacye Herodota i Diodora Sycylijskiego o nieprzebranym bogactwie starożytnego Egiptu, do których z rezerwą zwykłem się odnosić w mgnienu oka wiarygodnymi się stały. Zapewne nikt ze współczesnych na własne oczy podobnych precjozów nie widział, ani tym bardziej na wyciągnięcie ręki nie miał. Żaden z królów ni carów europejskich na własność nie posiadał, a być może jeno nieliczni z władców Wschodu. Widok ten sprawił że wiotkość w nogach uczułem, w głowie zaś nieznanie mi dotąd zagościły myśli.

Opamiętanie umysłu i trzeźwy osąd wkrótce też nadeszły i ku ścianie z inskrypcjami skierowałem oczy, po czym z uwagą wielką, począłem kolejne zapisy odczytywać. „Wyboru dokonasz, a wybór raz dokonany będzie ostatecznym. Wytypować musisz którąś z dwojga łożzi szalami wagi będących, napierając na nią całym swym ciężarem. Mechanizm zwolni ją ku ziemi opuszczając, druga na wysokość niedostępną wtędy się uniesie. Wówczas tylko wieko masywne uchylić będziesz zdolny.” Całe moje życie, lat niespełna trzydzieści osiem liczące, stanęło mi przed oczyma. Nigdy krzywdy umyślnie nikomu nie wyrządziłem. W biedzie na ogół żyjąc, dobra doczesne miałem za nic. Sens życiowych dążeń zgłębianiu języków obcych jako i odszyfrowaniu hieroglifów przypisywałem. Obawiałem się często o byt żony i córki mojej, jednak uparcie wierzyłem że fortuna niesprzyjająca wnet się odwróci, a zdarzenia szczęśliwe zapewnią nam godniejsze życie. Nie obce też były myśli o rychlejszej poprawie naszego losu, niemniej drogami zgodnymi z zasadami współistnienia ludzkiego, dojść do niej pragnąłem. Szacunek dla własności czyjeś nader często mi przyświecał i gdyby nawet do zmarłych miała należeć, nigdy po cudze moje nie sięgnęłyby dłonie. Nade wszystko jednak w poszanowaniu miałem poglądy, upodobania i wierzenia bliźnich i niczego wbrew ich woli dokonać bym nie zdołał, jeśliby nawet przed tysiącleciami odejść w zaświaty bezpowrotnie mieli. Wspomnienie snu wczorajszego na myśl mi przyszło, czy za oczyszczonego z grzechów przez sąd Ozyrysa uznać by mnie miano, nawet gdyby sąd ten wyimaginowanym miał być i zmęczeniem urojony, jeślibym poczucia własnej przyzwoitości w umyśle nie przechowywał? Wraz ze wspomnieniem tym sens słów na ścianie świątyni w Karnaku odczytanych, w pamięci mej się ozwał. Wspomniałem o celu mojej wizyty tutaj i obawie o przyszłość dziecka najdroższego, cenniejszego od nieprzebranych bogactw i przyszłość jego dzieci. Pochodnie wraz z kagankiem na posadzce złożyłem i bez zastanowienia na łożć głazami wypełnioną, z sił całych naparłem. Nim zdążyłem jeszcze mocy wszystkich użyć ramię Ozyrysa ku dołowi się wychyliło, drugą z łożzi precjozami wypełnioną, ku sklepieniom komnaty unosząc. łożć kamieniem wyładowana, jakoby wbrew ziemskiemu ciężarowi i ciężarowi swemu łagodnie na posadzkę opadła, wprawiając w drżenie obszerne wieko, grubą warstwą kurzu pokryte. Nie mało czasu oczyszczenie wieka zajęło. łożć kilkakroć dookoła obszedłem, by środek ciężkości i punkt podparcia pokrywy określić. Nazbyt obszernym się okazała i na wszelkie naciski odporna. Postanowiłem więc sposobem przemyślniejszym ją uchylić. Ostrze kindżału z przybocznej torby dobytego, pomiędzy burty a wieko umieściłem, starając się równocześnie ku górze unieść. Pokrywa bez oporów większych zabiegowi temu się poddała i nad wyraz chętnie, ku górze wychyliła. Ciężaru jej w pełni nie mogąc rozpoznać, palców pod nią umieszczać nie zamierzałem, a siły wszystkie zebrawszy od siebie odepchnąłem. Z pozoru masywne, wieko lekkim się okazało, na użycie sił nawet niewielkich podatne. Z drewna nader lekkiego musiało być wykonane, a przez tysiąclecia całe kruszejąc, lekkości niezwykłej nabrało. O posadzkę stopami zaparty, z przeciwnej burty wieko zsunąłem. Zatrzymało się na kamiennej podłodze, o burtę łożzi wsparte by wkrótce w bezruchu zamrzeć. Krokiem żwawym łożć dooko-

ła obszedłem i nad pokrywą stanąłem. Chwila namysłu wystarczyła do decyzji podjęcia, nie chcąc jej uszkodzić należy nogą u podstawy podeprzeć, na siebie pochylić i stroną zewnętrzną na posadce ułożyć. Zamiar ten wkrótce też wykonałem. Wieko na płask ułożyłem i na wewnętrznej jego stronie wzrok skoncentrowałem.

Zdziwieniu swojemu nie mogłem przydać właściwej miary, gdy okazało się ono papirusami na płask rozpostartymi wyścielane. Każdy z rzędów ściśle do siebie przylegał, po kilka, a nierzadko kilkanaście zawierał papirusów, szpuntami drewnianymi do desek przytwierdzonych. Ilość nieprzebrana znaków hieroglificznych, z precyzją wielką skreślonych, wyobraźnię moją w oszołomienie wprawiła. Wielobarwność z jaką ukazane zostały, nawzajem się przenikała. Barwy indyga, lazurytu, sieni i żółci kadmowej na wzajem się przenikały. Dopełnione złoconiami, nakazywały wzrokowi zagubionemu, po całej powierzchni wodzić tam i z powrotem. Intensywność pigmentów, odpornych na upływ tysiącleci, zadziwiała bez reszty. Spojrzałem na dogasającą pochodnię, w jej nikłym świetle nie starałem się nawet ilości ich przeliczyć, do pracy tej cały zapas pochodni okazałby się niewystarczający. Wzrokiem ciekawością rozbudzonym, pospiesznie po nich przemknąłem w poszukiwaniu zapisów na ścianach krypty w Karnaku wzmiankowanych, a drugą częścią eposu i kroniką obrotu planet będących. Czas długi i bezcenny zajęło odnalezienie zapisów właściwych, a napotykając co rusz na drugą część historii cywilizacji przez Amona Ra zapoczątkowanej, żywić począłem nadzieję że zawiera także kronikę obrotu planet, najbardziej mnie interesującą. Początek w lot rozpoznałem, wzrok mój nadwyrężony, ku pierwszemu rzędowi hieroglifów kierując. Zapis ten od słów następujących się zaczynał „ My kapłani kultu Amona Ra, na polecenie jego majestatu z życiem się żegnającego, słowa te spisaliśmy.....”,

Drodzy czytelnicy, gorąco zachęcam do zakupu mojej debiutanckiej powieści MATEMATYCZNY WZÓR NA ISTNIENIE BOGA dostępnej w większości księgarni internetowych w promocyjnych cenach, dziękuję i pozdrawiam, autor.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Maciej Bienias, dodano 22.01.2022 09:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.